



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie

Kwartalnie. rs. 1.
Za odnośnienie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 12 Stycznia 1891 roku.
(24 Stycznia)

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Z Tygodnia. — Psyche, nowela przez Poczwarkę (dalszy ciąg). — Dwie strony medalu (fraszka karnawałowa) (wiersz). — Niedyskretne uwagi — El toro, nowela Jana Kervadec. — Piśmiennictwo. — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. W dodatku: Poświęceni, przekład z francuzkiego, część pierwsza (arkusz 4).

Z TYGODNIA.

czy kobiety są lepsze od mężczyzn? Oto pytanie, jakie — w zmienionej tylko formie — rozstrzygało w ostatnim numerze „Tygodnika” pióro kompetentniejsze od mojego. Co do mnie, ani bym chciał, ani umiał na nie odpowiedzieć. Jeżeli jednak chodzi o porównanie ogólnej sumy wybitnych i dobrych czynów, po jednej, jak po drugiej stronie, niech mi wolno będzie do gmachu tego drobną dorzucić cegiełkę.

Pocziwa bowiem jakaś wróżka wzięła kronikarza waszego w opiekę, (proszę się nie śmiać, i kronikarze niekiedy szczęśliwą swą gwiazdę miewają!) od kąd też przychodzi mu wypełniać rubrykę tę echem działalności naszej z ubiegłego tygodnia, zawsze ma do zanotowania choć jeden czyn wybitny, a szlachetny. Kto go spełnił, on czy ona, kto lepszy, kobieta czy mężczyzna, trudno byłoby nawet i na tem polu stanowczo rozstrzygnąć; niepodobna bowiem przypuszczać, aby wzajemnie na siebie nie oddziaływali. Zaciągając też z dumą każdy fakt taki do księgi ogólnego uznania i wdzięczności, nie rozdzielamy ich imion; bo pewni, że inicjatywa i czyn, że kobieta i mężczyzna, jak w życiu, tak i tu pomocną podają sobie rękę, przed obojgiem chylimy głowę.

Jeżeli jednak chodzi o ściśle rozdzielanie tytułów własności, trzeba przyznać, iż suma ich coraz się

częściej na stronę kobiet przeważa. Oto owa wróżka, której opieką szczyliłem się przed chwilą, znów mi z rozwoju działalności niewieściej piękną dyktuje kartę.

W Krakowie założone zostało w tych dniach, pod przewodnictwem p. Heleny z hr. Dzieduszyckich Mieczyławowej Pawlikowskiej, Towarzystwo „oszczędności kobiet,” o celu sięgającym dalej nad zwykłe tego rodzaju dobroczynne instytucje. Zadanie bowiem stowarzyszonych polegać będzie nie na dziennikarskich deklamacyach o klęsce, jaką przynoszą emigracya do Brazylii i stopniowe wyludnianie się kraju, lecz na wspieraniu podupadłych właścicieli mniejszych posiadłości włościańskich przez udzielanie bezzwrotnych pożyczek, oraz dopomaganie ubogim gminom w polepszeniu bytu ich i zakładaniu szkół ludowych.

Że stowarzyszenie takie, oparte zapewne narazie na jakimś funduszu zakładowym, a mające się później dopiero z oszczędności niewieścich rozwijać, może przy dobrej organizacyi uratować wielu nieszczęśliwych, umysłowo ciemnych, których nędza rzuca w sieci niewoli brazylijskiej, to żadnej nie ulega wątpliwości. Pomysł też ten, tak prosty, a jednak obcy paniom tutejszym, notujemy tem skwapliwiej, iż nie pierwszy to czyn szlachetny, wychodzący ze znanego pałacyku na Kleparzu.

Echa krakowskie inną jeszcze ogólnego znaczenia przynoszą nam wiadomość. Komitet pomnika Mickiewicza...

— Pst! Pst! — przerywa mi chochlik złośliwy. — Nie bądźże asan lekkomyślny. Nieszczęście chcesz chyba sprowadzić?

— Ja? nieszczęście?

— Czyż nie wiesz, że pogrążonych w śnie hypnotycznym magnetyzer może obudzić tylko? To tak, jakgdybyś chciał wołać na lunatyka, chodzącego po dachu... przestraszy się, spadnie... no, i kark czasem skręci.

— A któż jest magnetyzerem?

— Alboż nie wiesz, rzeźbiarz Rygier; pozyskawszy nad komitetem pięciu moc niepokonaną, pogrążył go w śnie oddawna.

Klasnąłem w ręce z radości; raz przecież byłem lepiej od mego dokuczliwego dyabełka poinformowanym.

— Otóż teraz asan się mylisz — przerwałem, tą samą odpłacając monetą. — Stała się bowiem awantura. W chwili, gdy p. Rygier wykonywał „pasy” przed oczyma pogrążonych we śnie, aby wziąć od nich pieniądze i pochwały za nowo wykończoną grupę, do pracowni jego wpadła Opinia. No, wiesz, z jakim to językiem kobietka! Gdzie ojciec twój, szatan, do ładu trafić nie może, tam ją często pośle. Tym razem jednak przywdziała tylko wdowie szaty i płakała cicho... z żalu nad składkami, nad groszem publicznym, nie podług życzenia ogółu zużytym, i nad kwestyą naszej niemocy zapewne...

Tłómaczyć nie miała już siły, a jednak łzy jej musiały być wymowne, gdyż, jak nam donoszą z Krakowa, hr. Przeździecki postanowił podobno usunąć się z komitetu, oraz pokryć osobiście wydane dotychczas z publicznych składek fundusze.

Chochlik złośliwy zawstydził się. Po chwili wszakże podniósł drwiąco głowę.

— Nowa szopka! — zawołał. — Uwierzę w rozplątanie tej kwestyi, ale, kochanku, po fakcie spełnionym.

Bez względu tymczasem na ową wielką sprawę pomnika, rzeźba i malarstwo silnie u nas w tym tygodniu zajmowały ogół i artystów. Rozstrzygano dwa ważne konkursy. W malarstwie, imienia prof. Gersona, otrzymał pierwszą nagrodę (600 rs.) pan Alchimowicz, za fantastyczny obraz „Milda;” rzeźbiarski, na popiersie Królikowskiego i Żółkowskiego, dla foyer Wielkiego teatru, spełził na niczem, wskutek małej wartości prac nadesłanych. Tu jak tam wszakże, ani jednego niewieściego nie spotykamy imienia.

Rzeźbie niewiele się u nas kobiet poświęca. Ku mojej wiadomości, czyni to parę dam światowych, które dłużej za zabawę uważają. Malarek jednak mamy zastęp cały, kilka zaś młodszych pracowników na tem polu zaczyna sobie zasłużone zjednywać uznanie. Dlaczegoż więc nie wzięły udziału w najprzystępniejszym dla kobiet konkursie, bo obejmującym utwory historyczne, religijne, lub z dziedziny fantazyi poczerpnięte? Czyżby im — jak dowodzą sceptycy — polotu wyobraźni brakło? Wolę mniemać, że to tylko zbieg okoliczności, lub niedowierzanie własnemu pędzlowi, na zasadzie iż nie miał jeszcze czasu oryginalnej nabrać siły.

Życie artystyczne, w którym panie nasze poza konkursami silny przecież biorą udział, coraz żywszą tymczasem toczy się falą. Z jednej strony, pracujemy i balujemy na rzecz budowy gmachu dla Towarzystwa zachęty, z drugiej, niezadowoleni z niego malarze obiecują nam otworzyć w Maju osobną wystawę obrazów odrzuconych, coś w rodzaju paryskiego *Salon des refusés*. *) Jeden z poważnych tygodników proponuje nawet, abyśmy spróbowali, nawzór Paryża i Berlina, stworzyć małą prywatną scenę, na której grywanoby komedye i dramata odznaczone przez konkursa, a nigdzie niewystawiane.

Rzecz prosta, iż żart to jedynie. Pomijając wszelkie techniczne warunki, Warszawa zbyt małym jest miastem, aby taki wolny teatr podtrzymać. Wszak my się tu znamy tak, że zanim który ze sławniejszych autorów zacznie drukować nową pracę, wszyscy już wiedzą, kogo chciał w niej sportretować. Nazywa się to podobno plotką w powieści i jest, jak dotąd, najmniej przez pióra kobiece nadużywane. Znamy się tak, że gdy w tych dniach ukazał się wskrzeszony „Tygodnik powszechny” i zapowiedź czasopisma „Piękno,” wedle prospektu już smutny dla obu przepowiedziano horoskop.

Co do nas, sprzyjając rozwojowi myśli i piśmienictwa, życzymy obu jaknajlepszemu powodzenia. Chcielibyśmy je widzieć szczególnie w wsiach, tam, gdzie mamy nadzieję zobaczyć również kobiety-lekarki. Oto znów Nowe-Miasto ogłasza w „Kuryerze” list błagalny, wzywając na niwy swoje jakiegokolwiek doktora.

Odezwy tego rodzaju i skargi na brak pomocy w razie choroby coraz się częściej dają spotykać. Dlaczego panie nasze, poświęcające się medycynie, nie chcą ich uwzględnić? Czyżby nie rozumiały, jak szeroka otwiera się tam przed niemi działalność, jaki dobroczynny wpływ wywieraćby mogły, zyskując zarazem cichy, co prawda, lecz spokojny i zadowolenie przynoszący kawał chleba? Nie przypuszczam, by żądza rozgłosu i sławy zatrzymywała je w mieście, choć rozumiem zupełnie, że niektóre, specjalnym gałęziom wiedzy poświęcające się,

w stolicy jedynie znaleźć mogą środki pomocnicze i pole do działania.

Do takich należy nowa pionierka nauki, p. Anna Świątecka, córka obywatela z g. Radomskiej, która, poświęciwszy się okulistyce, po ukończeniu akademii medycznej w Paryżu, pojechała do Petersburga, w celu złożenia egzaminu, a następnie ma odbywać praktykę w tutejszym szpitalu oftalmicznym.

Do pionierek również zaliczamy kryjącą się pod kryptonimem kobietę, która projektuje urządzenie w poście odczytów dla dzieci. Pomysł to zapewne dobry. Odczyty te jednak musiałyby być ilustrowane licznymi okazami. Najlepszym też dla nich polem będzie czasami zakładane u nas, dzięki inicjatywie pana Karłowicza i Janikowskiego, stałe muzeum etnograficzne. Okazy jego najlepiej uprzystępniałyby małym słuchaczom naukę o ludach i krajach nieznanych, a złożą się na nie zarówno zbiory bankrutującego Ogrodu zoologicznego, jak okazy z ostatniej wystawy pana Janikowskiego i troszkę podobno ze skarbów, ukrytych we Frascati.

Kolej konna, zakładana z wiosną do Wilanowa, i tamtejsze bogactwa uprzystępni również dla szerszego ogółu.

Anatol.

PSYCHE.

NOWELA

PRZEZ

POCZWARKEJ.

(Dalszy ciąg.)

VII.



Dawajcie go tu!

— Pokaż się, stary!

— Dajże gęby, bracie!

Rozlegało się około uszu oszołomionego Janka w chwili, gdy pociąg stanął u celu.

W jednym momencie uczuł się porwanym za barki, wywleczonym z wagonu i obcałowywanym uczciwie przez kilka ust młodzieńczych.

— Władek! Michał! Leonard! — wykrzykiwał uradowany, przyszedłszy nieco do siebie. — Jak się macie, serdeczne chłopaki! — i dalejże znowu ścisnąć pokolei przyjaciół i koleżków jeszcze z ławy szkolnej.

— Toś zuch! a ja myślałem, że już się nie puścisz spódniczki!... — trzepał cienkim dyszkantem rozochocony Michcio, znany wróg małżeństwa.

— Ale że cię baby puściły, no!...

— Nie trzymały mię wcale, to ja się ich trzymałem! — odparł żywo Janek, obrażony tonem, w jakim pozwalał sobie kolega mówić o jego narzeczonej.

— No, no, daj pokój, żarty nabok, tymczasem jazda do domu! Musisz być dyabelnie głodny i zmęczony.

Przywołano „zwoszczyka,” wrzucono się w dorożkę i czterej przyjaciele udali się do kwatery Michcia dla złożenia bagaży kolegi, a ztamtąd na kolację do restauracyi.

Zaspokoiwszy apetyt, na brak którego żaden nie mógł się uskarżać, przy butelczce i deserze zaczęto ogadywać interesy Janka.

Trzeba go było gdzieś ulokować.

W restauracyi stołować się nie chciał. Władek był żonaty i dosyć szczupłe zajmował mieszkanie, będąc, jak mówił, na dorobku. Inni dwaj mieścili się w jednym pokoju, miejsca na trzeciego nie stało.

Projekty sypały się jeden po drugim.

Wreszcie Leon uderzył się w czoło i zawołał tryumfalnie, trzasnąwszy w palce:

— Eureka! mam go! Mama Lefroy! Nikt, tylko mama Lefroy!

— Co za mama Lefroy? co pleciesz? — pytał Janek, zmęczony tem wszystkim.

— Rzeczywiście, brawo Leon! — zawołał kole-dzy. — Pyszna myśl! Czy tylko ma wolny pokój?...

Tu Janek dowiedział się nareszcie, że tak zwana mama Lefroy była to zacna kobiecina, wdowa po profesorze, zajmująca z przystojną córką, dwudziestoparoletnią panną Zoe, skromne mieszkanie na jednej z podrzędniejszych ulic stolicy.

Dama ta miała zawsze do rozporządzenia pokój umeblowany, z osobnym wejściem i całodziennem utrzymaniem, za nader umiarkowaną cenę i zawsze miała lokatorów z grona młodych ludzi, którzy woleli obiady domowe niż restauracyą i przekładali ci-szę i samotność nad denerwujący zgiełk wielkiego miasta.

— Ale ba! to nie dla niego! — zawyrokował Michał.

— A to dlaczego?

— Samotrzask na niedoświadczonych mydlków! Jak go panna Zoe weźmie w pazurki... oho, prze-padł z kretesem!

— Już tam niejeden osmalił skrzydełka, jak ćma u jasnej lampy!

— To ziółeczko, strzeż się!...

— Dajże sobie pokój. To mądra sztuka, nie da się. Zresztą przecież ma narzeczoną.

— Wielka rzecz! — przerwał niepoprawny sceptyk, wzruszając ramionami.

— I jeszcze jaką! pracuje sama i pracę daje utrzymanie matce.

— Doprawdy? A to zuch dziewczyna, szanuję ją, choć jej nie znam.

Teraz Janek z kolei zabrał głos.

Opowiedział kolegom dzieje swej miłości, w gorących słowach przedstawił im obraz swojej ukochanej: jej dobroć, poświęcenie dla matki, tyloletnią miłość wierną dla niego.

Wszyscy słuchali z przejęciem i jednomyślnie wzniesiono toast na cześć panny Zańci i za pomyślne zakończenie wszystkich jej utrapień.

Rzecz była postanowiona.

Janek z rezygnacyą oddał się pod opiekę Leona, który nazajutrz rano miał go zaprowadzić do mamy Lefroy. Sam mieszkał tam czas jakiś. Przebył odrę miłości dla panny Zoe, następnie przeszedł fazę rozczarowań i goryczy, a wreszcie, znudzony tem wszystkim, wyniósł się z idyllicznego domku, ukrytego wśród zieleni, do gwarnej dzielnicy miasta.

VIII.

Wszedłszy furtką od ulicy i minawszy wielki dziedziniec, zawalony jakimiś składami rupieci, doszli do małych drzwiczek w sztachetach drewnianych, drzwiczek, których ledwie się można było do-

(*) W ostatniej chwili myśli urządzenia takiego salonu zaniechano w zupełności.

myśleć wśród olbrzymich festonów dzikiego wina, o czerwieniejących wachlarzowatych liściach.

Pchnięto furtkę i nagle dwaj przyjaciele znaleźli się w miluchnym ogródku, kilkoma kwaterami je-siennych kwiatów wdzięczącego się zalotnie do niz-kiego domku, stojącego wgłębi.

Na środku tego isticie kieszonkowego ogródka drzemiała fontanna z kamiennym basenem, mało co większym od salaterki.

Na prawo, pod jakimś starym, ceglanym murem pięła się altanka, obficie udrapowana dzikiem winem, chmielem i powojami. Po przez gęstą zieleń pną-czów, wśród bladych kwiatów chmielowych, zamaja-czyły dwom przybyszom jasna sukienka i błyszczą-ce czarne oczy. Ale widzenie pierzchnęło natych-miast, a oni zadzwonili do zamkniętych tajemniczo drzwi domu, stojąc na kamiennym stopniu, który połyskiwał w promieniach rannego słońca wilgotnym mchem pleśni.

Po chwili ukazała się we drzwiach stara megiera i poprosiła panów do salonu.

Niewielki pokój, urządzone trochę pretensjonalnie i ze staroświecką, miał na ścianach zielone tape-ty niepiętnowanej świeżości. Zasłaniały je olbrzymie sztychy w starych, czarnych ramach, przedstawia-jące główne momenty z życia Napoleona I-go, bi-tywy pod Austerlitz, pod Lipskiem, pod Piramidami, aż do 8-tej Heleny i kaplicy u Inwalidów.

W kącie staroświecki szpinet, przy którym mo-żna było zaśpiewać pieśń o Filonie; na gołym, spa-czonym stole przed wypłowiałą amarantową kana-pą patarafka z włóczkowymi różami, a na niej wiel-ka lampa z wyszczerbionym tulipanem. Na oknach ładne kwiaty, zasługa panny Zoe, wychylały kwi-tnące, ciekawe główki, zpośród czystych siatkowych firanek. W kącie jesionowa serwantka z mnóstwem naczyń i cacek z kryształu i porcelany, zresztą nie takiego, na czymby z ciekawością można zatrzymać spojrzenie. Banalne otoczenie mieszczańskiego sa-lonu, zdradzające nieszczególne warunki finansowe i niezbyt wytworny smak lokatorów.

Po paru minutach oczekiwania, wbiegła raczej niż weszła mała, dość pulchna staruszka, w czarnej koronce na siwych loczkach, o żywych czarnych oczach i miłym uśmiechu.

— A, pan Leon! comment va-t-il? — zawołała od progu.

Nastąpiła prezentacja i przystąpiono natychmiast do interesu.

— Owszem! — zawołała z żywością gospody-ni. — Właśnie jest próżny pokój po tym mauvais su-jet, który mi znosił do domu kości i czaszki trupie, a po tem wszystkiem wyniósł się cichaczem, nie za-placiwszy za dwa miesiące. Może panowie zoba-czą.

Pokoik był mały, ale słoneczny. Posadzka olej-no zaciągnięta, u okna czyste firanki, nigdzie pył-ku, ani pajęczyny — miły kącik. Łóżko żelazne, dwa krzesła wyplatane, pod oknem stolik bejcowany na orzech, takąż niewielka szafka na rzeczy składały umeblowanie.

Zgoda nastąpiła natychmiast i tego dnia zaraz Janek, uradowany pomyslnym biegiem interesów, przeniósł swoje lary i penaty pod gościnny dach sympatycznej cudzoziemki.

Panna była niewidzialna.

Około piątej po południu służąca zastukała do drzwi w chwili, gdy Janek, rozpakowawszy rzeczy i urządziwszy się trochę, zaczął pisać list do Żańci.

— Proszę na obiad! — zawołała, uchylając drzwi dyskretnie.

Wszedłszy do jadalni, zobaczył wysmukłą postać w jasnej, perkalowej sukni, odwróconą plecami, bo właśnie dostawała coś z kredensu. Czarne włosy o hebanowym połysku w bogatych warkoczach opa-dały jej na śniady karczek.

Kiedy się odwróciła, stawiając na stole przybory do obiadu, Janek aż zmrużył oczy pod snopami iskier fosforycznych, jakie sypnęły na niego zpod rzęs jedwabnych jej czarne źrenice, przepaściste i tajemnicze jak otechłań piekielna, palące i namięt-ne jak pocałunek Kreolki.

Młody człowiek skłonił się w milczeniu, panna Zoe skinęła główką niedbale, weszła mama, a za nią służąca z wazą, i wszyscy siedli do stołu.

Janek był trochę zakłopotany.

Wogóle mało dotąd przebywał w towarzystwie kobiet i z natury był nieśmiały. Naiwność swoją i niedoświadczenie zawdzięczał pracy, która mu nie pozostawiała czasu, ni ochoty na życie towarzyskie, ani stosunki buduarowe.

Poza obrębem kolegów nie znał świata. Poza Żańcią i jego rodziną kobiety dla niego nie ist-niały.

Mama Lefroy podtrzymywała rozmowę.

Panna z lekceważącym uśmiechem spoglądała kiedy niekiedy na niezgrabnego kawalera i parę razy zlekka wzruszyła ramionami na jego naiwne i szczere odpowiedzi, jakie dawał na ciągłe pytania mamy.

Sama milczała uparcie.

IX.

Janek tedy objął posadę, zagospodarował się na nowym locum i rozpoczął pracę, myśląc o przyszło-ści, pełen drogich wspomnień i tęskniący do chwili, w której się spełnią jego marzenia.

Tymczasem koledzy napastowali go pytaniami i drażnili żarcikami.

— Cóż, jeszcze się trzymasz?
— Jeszcze dychasz, biedaku?
— Panna Zoe bardzo się pastwi nad tobą?
— Cóż znowu, nawet na mnie nie zwraca uwagi! Zawsze zajęta, pracowita, coście wy sobie do niej upatrzili?

— Już jej bronisz?
— Nie bronię, ale mówię co widzę. Nawet dzie-sięciu słów jeszcześmy z sobą nie zamienili. Ja myślę o swoich, flirt mi nie w głowie, a i jej rów-nież.

— Czemże teraz zajęta?
— Wyrabia figurki i drobne naczynia z terracot-ty, nawet wcale artystycznie.
— Aha! przyszła kolej na terracottę!
— Bo to teraz w modzie.

— Niedawno z zapalem kleiła pudełka i bombo-nierki, a przedtem chodziła na kursa i dawała lek-cye. Co wiatr zawieje, to jej nowe gusta i pomy-sły przychodzą do głowy.

Któregoś dnia, Janek, przyszedłszy z biura, zastał niespodziankę i to podwójną: na stole pod oknem le-żało kilka listów z kraju, a na nich, niby przycisk, płonął przepyszny pęk róży purpurowej.

— Zkąd się to wzięło u licha? — szepnął, my-śląc o róży. — Przecież listonosz chyba tego nie przyniósł... — I rzucił się do czytania listów.

Ochłonawszy z marzeń, w jakie go wprawiła lek-tura, spostrzegł znowu, niby drażniącą pokusę, pur-purowy kwiat pachnący, a wiedziony litością dla umarłej róży, włożył ją do czarki napełnionej wodą i postawił na oknie.

Już kilka miesięcy minęło od chwili, jak Janek zamieszkał w domu Francuzki.

Rzeczy szły zwyczajnym biegiem. Nic nie mąci-ło spokoju, jaki otaczał ustronną siedzibę. Janek mógł bez przeszkody oddawać się studjom i lektu-rze.

Czasami znajdował kwiaty w swoim pokoju, nie-kiedy całe bukiety z kryształowego wazonu rozle-wały woń po jego *tusculum*.

Domyślał się, czyich rącek to sprawa, ale nie śmiał podnosić tak drażliwej kwestyi i nie odezwał się nigdy ze słowem podzięk, lub zapytania, choć miłym mu był ten subtelny objaw czyjejś przyja-źni.

Panna Zoe była dziwnie kapryśnego tempera-mentu. Raz słodka, miła i serdeczna, to znowu pełna ironii, pogardliwa i odpychająca, przestrasza-ła chłopca, który się trzymał zdaleka i dość etykie-talnie.

Jednego dnia panna Zoe zjawiła się przy stole w różowym humorku. Spodziewano się gości na wieczór i to może tak usposobiło panienkę.

Przy obiedzie szczebiotała ustawicznie, drażniła Janka przycinkami, stroiła powabne minki, łasiła się jak koteczka. Kiedy wstano od stołu, kończąc zaciętą jakąś dysputę o emancypacji kobiet, za-trzymała go w jadalni dłużej, niż zazwyczaj i zwol-na sprowadzając rozmowę na inne przedmioty, po-wiedziała z przysmileniem:

— Ciekawy pan poznać petersburskie Polki? To niech pan przyjdzie do nas wieczorem, będzie kilka moich przyjaciółek i paru młodych ludzi, może się pan nie znudzi...

— Mam pilną robotę.

— O, to wymówka! Ja proszę, żebyś pan przy-szedł!

To *proszę* było powiedziane tonem, mającym znaczyć: *ja każę!* i to z leciuchnem tupnięciem nóżki.

Młodzieniec skłonił się w milczeniu i odszedł do siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE STRONY MEDALU.

(Fraszka karnawałowa.)

I.



Ach, któraż z was, piękne panie,
Tej powabnej pory nie śni,
Gdy, jak słońce na rydwanie
Z mgieł, nad marnym tym obszarem,
Pośród kwiatów — światła — pieśni —
Wejdzie do balowej sali,
I jak słońce swemi blaski
Ziemie — ona, olśni czarem
Tłum pokornych swych wasali,
Co w zachwycie szepcą „łaski:
Uśmiech daj — rzut oka — słówko —
U nóg twych czekamy kornie!”

Któraż z was na dźwięk kapeli
Nie potrząśnie wdzięcznie główką
I nie spojrzy w świat weselej,
Choć powagę czei pozornie?

Do powagi cóż ma szata?
Cenny strój tak oko nęci,
Brylant takim ogniem płonie!
Że tam w główce walc zakreśli,
Że niejedna, niebogata —
Bóg wie jak godzinę szału
Spłaci — że zostaną w łonie
Potem żal i pustka w sercu..
To cóż? może ideału
Uszczknie... stanie na kobiercu?

Więc życzę wam, piękne panie —
Na dziś, jutro, uciech wielu,
Ile która przeniesie wstanie:
Szat z jedwabiu — cacek — szkiełek —
Malowanek — świecidełek —
Niezamężnym życia celu,
Słodkich szeptów Ewy węża,
Niech czas zapust wam przyniesie
Do czego pierś tęskni — rwie się:
Bogatego władcę... męża!

II.

Lecz wśród pełnej uciech doli,
Gdy czcicieli rój otoczy,
Żadna niech nie zapomina
Że nie każdy cios nie boli —
I nie każde bez łez oczy —
Że się jękiem żyć zaczyna
I po cierniach w życiu kroczy.

Śród upojen i śród szału,
Gdy laleczka się pokręci —
Niech innego ideału
Szuka jeszcze tam — na roli,
Której siew jej dłoń uświęci:
Gdzie łyż płyną — łyż niedoli.

Niech pomyśli, że są jeszcze
Nędzni, co uciechy nasze
Klną w rozpacz — że im kleszcze
Hydr pierś szarpia w krwawe szmaty —
Że nad balem jest... poddasze,
Gdzie brak leków — chleba — szaty —
Nędznych dręczą sny złowieszcze.

Jeszcze niech nie zapomina,
Że nie każda pulchna, zdrowa,
Śród koronek spi dziecina,
W puch rumianą buzię chowa..
Że ten wróg, co z blizkich grona,
Rwie aniołki jasnowłose,
To najczęściej głodne — bosc —
Co ssą zwigdłe, wątłe łona.
Że na nędze i te bóle
Nie poradzą żadne prawa,
Żadna kara lub ustawa,
Ani Bogi, ani króle!
Wiercie, wiercie mi, niestety!

Na to lek — to dłoń co krzepi,
Złoto umie siać bez żalu..
Dobrej, zacnej dłoń kobiety.

Wytchnąć, idźcie tam, po balu!

Ero.

NIEDYSKRETNE UWAGI.

Starokawalerstwo czyni człowieka bez zaprzeczenia zręcznym i nieprzychylnie względem kobiet usposobionym.

Znany ten pewnik zaczynam coraz dokładniej sprawdzać na sobie.

Dawniej nie umiałem na rozkoszne te stworzenia z pesymizmem spoglądać, nie widziałem w nich ani gonienia za rozgłosem, ani próżności, ani lekko-myślnego czepiania się nowych haseł. Każda też dziwnym nęciła mnie urokiem.

Dziś, phil! w anioły już nie wierzę. Zabiła je emancypacja.

Bo czyż można sobie wyobrazić anioła, pochyłego ze skalpelem nad trupem i wyjmującego mu, dajmy na to, półkule mózgowe?

Brr! sama ta myśl przejmuję mnie wstrętem do doktorskich rączek kobiecych.

Wprawdzie siostrzenica moja, średnia inteligencja, lecz zapalona także głowa, jak one wszystkie teraz, dowodzi że to właśnie szczyt zwycięstwa, odniesionego nad wrażliwą naturą niewieścią i poświęcenia dla bliźnich. Chcąc mnie przekonać, podsunęła mi nawet figlarka „Na przebój” Szeligi, ale doszedłszy do rozdziału, w którym Natałka, główna bohaterka, kraje, czy preparuje — nie wiem, jak oni tam mówią — zsiniała a przybita do deski rękę młodej panienki, omało nie zemdlałem z fizycznego czysto obrzydzenia.

— Anioł z dłońią trupa, przymocowaną do stołu! Anioł w klinice chorób zakaźnych, lub w szpitalu trędowatych! Oszalałaś chyba z takim anielstwem!

— Anioł z dymiącą od przypalonego tłuszczu patelnią — przedrzeźniała, naśladując szeroki i patetyczny gest mój; — anioł uwijający się z miotłą i brudną ścierką, lub naciągający dziurawą skarpetkę na rączkę, w pięść ściśniętą!

— To jej posłannictwo.

— Co? dziurawa skarpetka? Tysiąc podziękowań, wolę medycynę!

I, entuzjastka, cytowała mi tyle przykładów poświęcenia pracy wytrwałej, zaparcia się siebie i hartu woli, iż nieprzekonany bynajmniej musiałem jednak zamilknąć. Do dziewczyny tej mam przytem słabość... zawsze to swoja krew. Patrząc też na oczy jej, płonące zapałem, i lica rozognione, myślałem sobie:

— Wiele z nich pójdzie na marne, lecz ogół pobije nas. Posiadają bowiem przymioty, o których my, wygaśli jak stare paleniska chłodni, jak dusza sceptyka, zatraciliśmy pamięć. Posiadają wiarę, zjednywającą zwykle adeptów nowym teoryom, ogień niewyczerpanej młodości i miłość ideału.

Ale ideał, jaki to płomień zwodny! Ilu on ludziom skrzydła już opalił! Co robi z tą bojowniczką wątłą, bladą, o siłach szlachetnym zapałem podniecanych tylko?

— Słuchaj, mała — rzekłem na zakończenie dysputy, — skoro wam pilno mieszać się do życia i potężną od niego oberwać nauczkę, czemuż już mniej zdolne, a głównie słabsze fizycznie, zamiast wyjeżdżać do Zurichu, lub Genewy, nie chwytają za chlebodajne, uczciwe, a w domu zatrzymujące was zajęcia?

— Bo nas do nich nie dopuszczają — odparła markotnie, — a tam pracą się wybijemy. Zresztą dobrze. Jeżeli wujaszek wynajdzie mi fach uczciwy, dający się pogodzić z domowymi obowiązkami, a tak chlebodajny, abym na nim przyszłość swoją i rodzeństwa oprzeć mogła, składam broń i obiecuję kapitulować.

— Jeżeli wujaszek znajdzie — dobre sobie! A cóż to ja będę chodził i szukał, jak druciarz po podwórkach garnków do reparowania? Jeżeli wujaszek znajdzie... paradna! Czy to ja jestem czasowy, czy co? Każdy ma przecież swoje obowiązki. Wróciwszy jednak do miasta, pytam się, rozglądam... coś z pół roku rozglądałem się... Bo ja tak lubię; porządnie, systematycznie, a zwolna...

Tymczasem, oho! moja dziewczyna zakreśliła się jak fryga i... poleciała do Paryża na uniwersytet.

Utrapienie. Matka sama, bo to panie wdowa, gospodarująca na małym folwarczku, rady sobie dać nie może z drobiazgiem — dzieci jak maku — a ta leci, gdzie? Do takiego Babilonu!

Odtąd emancypantki obrzydły mi doreszty. Unikając też kobiet, oddałem się kwiatom i to zawiodło mnie raz na posiedzenie Towarzystwa ogrodniczego.

Wchodzę, śliczna sala Muzeum jaśnieje od gazu, na końcu jej estrada, przybrana zielenią, a na podwyższeniu dżentelmeni czarno ubrani, z których każdy wygląda dalibóg prędzej na właściciela wioski lub kamienicznika, niż na ogrodnika według dawnego autoramentu.

Przed estradą krzesła rzędem, jak na koncercie, i wśród publiczności ta sama garść znajomych, którą na wszystkich spotykam widowiskach.

Zaczynają się ukłony i powitania.

Na prawo doktor A. Na lewo doktor B. Z boku doktor C, i tak dalej. Dzieci Eskulapa obficie reprezentowane.

Wprost jednak spostrzegam adwokata D.; dalej nieco mecenas E., kapitalistę F., jubilera G. a wreszcie, tuż obok siebie, właściciela perfumeryi, pana H. ze śliczną żonką.

— Pani dobrodziejka zajmuje się ogrodnictwem? — pytam.

— A nie wiem, gdzieby je uprawiała, chyba na mydłach i pudrze — odparł żartobliwie małżonek.

— Więc pocóż właściwie państwo tu przychodzą?

— Ażeby wygrać jaką piękną roślinę; dziś przecież losowanie.

— Czyżby i te inne panie?...

— Rzecz prosta — odparła naiwnie. — Wszak my ogrodów nie mamy. Przychodzimy, jak na każde zebranie, aby zobaczyć się, pogawędzić, no i zabrać co do domu...

Mam was, emancypantki, poważnie zadanie swe pojmujące!

Tymczasem przewodniczący zaczął odczytywać sprawozdanie z całorocznego rozwoju instytucji. Przekonałem się dowodnie, iż Towarzystwo ogrodnicze najmniej ma członków w tych sferach, które największą mogłoby mu przynieść korzyść, dla których przeważnie zostało stworzone. Oto nie należą do niego ani dwory wiejskie, ani ogrodnicy, będący pod ich zarządem. Nasze panie, tak żadne chlebodajnego zajęcia, marząc o celach dalekich, nie pomyślały iż źródło bogactwa dzierżą oddawna w rękę.

A źródło to bynajmniej nie złudne. Oto poza uprawą jarzyn i kwiatów, które dziś masami z zagranicy sprowadzamy, pozostaje jeszcze gałęź naj-

potężniejsza — owoce. Sumy, wywożone do obcych krajów, za najwyczejniejsze gruszki i jabłka, w zdumienie mnie wprawiły. A jednak był to początek dopiero. Zgłębiwszy kwestyę, dowiedziałem się, iż wina owocowe, protegowane od lat kilku przez „Ogrodnika polskiego” i paru specjalistów, stanowią do tej pory rzecz prawie u nas nieznaną i dosyć lekceważoną. Tymczasem gałęź ta przemysłu przynosi takiej Francji czterdzieści milionów franków rocznie!

Zgłębiając kwestyę z fachowcami, przekonałem się, że oprócz przetworów owocowych, jak wina, konserwy i suche konfitury na eksport, moglibyśmy jeszcze w niektórych stronach kraju bogate mieć winnice. Kilkakrotnie już nawet Francuzi zwiędzali umyślnie okolice Kazimierza, obiecując założyć na stokach tych plantacye, o wcześniej dojrzewającej jagodzie. Zczasem więc pozyskałyśmy rodowite nasze: „Château Bochoćnica,” a pannie nasze będą wtenczas narzekały na brak pola do działania. Bo ktoby tam rozszerzał na kilkowiekowem folwarczku chlebobojne ogrodnictwo, kiedy wyjechać do Paryża, to daleko brzmi efektywniej.

Wprawdzie nasze miody i wędliny w tymże Paryżu znacznym cieszą się pokupem, no, ale pszczoła to szkaradny owad; brzęczy... kasa... i żeby się to kto jeszcze nad pokasana litował, żeby rozgłosił poświęcenie jej dla emancypacji i wiedzy! Gdzie tam!... Jeden lub drugi malowniczy list, przysłany z Paryża, daleko więcej imię jej rozślawi, od dziesięciu głupich, z przepraszaniem, pasiek.

Wiem, że emancypantki hukną na mnie za wsteczność i zagradzanie im drogi do wiedzy. Tymczasem brońże mnie Boże, abym jej miał być przeciwnym. I owszem; jedźcie wy wszystkie, które czujecie w sobie święty zapał do nauki, wy które, garnąc się ku niej w imię ideału, jak kapłanki nowej idei, chcecie stanąć na czele hufców, wywalczających kobiecie niezależność myśli i ducha. Jedźcie! Ja pierwszy, jako pionierom wielkiej idei, hołd wam należny złożę.

Ale nie zabierajcie mi mojej Zosi i takich innych. Zoś tyście, które, obdarzone średnią zaledwie inteligencyą, a charakterem łekliwym, miękkim, nieśmiałym, tam zginać muszą, tu zaś, stosownie skierowane, tworzyłyby zastęp użytecznych pracownic. Mały folwarczek, na którym matka sama rady sobie dać nie może, zrukuje się przez czas jej nieobecności doreszty, Zosia zaś wróci po pięciu lub sześciu latach z mozolnie zdobytym dyplomem doktorskim i będzie całe życie mierną lekarką, o pustką świecącej poczekalni, a wielkich do świata pretensyach.

Gdybyż jeszcze zechciała osiąść na wsi, zaprenumerowałbym jej własnym kosztem „Ogrodnika” i namówił, by wiedzę swą przyrodniczą wzmocniła praktyką i w tym kierunku zużyła. Leży tu bowiem dla naszej kobiety mina złota, której panie ani zrozumieć, ani ocenić nie chcą. Ale gdzie tam! Moja Zosia, zdobywszy raz dyplom, nie będzie mogła nigdy zrozumieć, że on jej nie doda samodzielną, rzutkiej inteligencyi i... pożąda sławy przedewszystkiem.

Osiądzie przeto w stolicy, by tu, odmawiając sobie i swoim najniezbędniejszych potrzeb, marnować się w ciągłych utarczkach z nędzą złożoną. Kosztem więc niezjedzonego obiadu postawi w salonie, przed godziną przyjęcia, na którą nikt często nie przyjdzie, wiązaną róż, sprowadzonych z Nizy; wieczorem zaś przyjmie znajomych herbatą z Chin (optymiści dowodzą, że pewien jej gatunek dałby się i u nas przyswoić), szynką westfalską, pasztetem

strasburskim, jabłkami z Tyrolu, winogronami z Baden, Krymu lub Węgier, włoskimi kasztanami, kijowską suchą konfiturą, angielskimi ciasteczkami i tureckim sorbetem. Gdy do tego dodamy trochę francuskiego likieru z astrachańskim kawiozem, a zczasem, na deser, francuskie wino: „Château Kozia-Wółka,” nikt wobec równie sutego przyjęcia nie będzie mógł powiedzieć, że doktor Zofia X. mało medycyną zarabia.

Ona zaś sama, dumna ze spełnionego posłannictwa, zafrasuje się jednak, co da rodzinie jutro na obiad, a ujrawszy dziurę lub plamę w salonowej firance, zajrzy do notatnika, kiedy można, ku zasłonięciu jej, wygrać w Towarzystwie ogrodniczym ozdobną roślinę i dnia tego, wraz z połową swych znajomych, stawi się w sali muzealnej, na ogólnym jego zebraniu.

Niechże świat wie, że jako przyrodniczka, proteguje rozwój krajowego pszczelnictwa, kwiaciarstwa i owocarstwa.

Stary Kawaler.

EL TORO.

NOWELA

Jana Kervadec.

I.

Karmelita.

Wielka uroczystość w Burgos: jest-to niedziela, dzień „Toro.”

Godzina pierwsza po południu.

Wokoło obszernego cyrku, mogącego pomieścić swobodnie dwanaście tysięcy widzów, gromadzą się tłumy gwarliwego i różnobarwnie przyodzianego ludu. Są-to mieszkańcy wiosek i miast sąsiednich. Z każdą niemal chwilą tłum się zwiększa i hałas wzrasta, bo dla dzieci Hiszpanii niema miłszej zabawy nad krwawe zapasy człowieka z rozhukanem zwierzęciem.

Gonitwy te powtarzają się w Burgos kilkakrotnie w ciągu roku. Młody i pełen energii *espada*, dzieć tego miasta, ma w tym dniu rozwinąć w całym blasku swą zręczność i odwagę. Emanuel Martijo, jeśli mamy wierzyć opinii głoszącej sławę pierwszych walk jego wzdłuż całej Hiszpanii, to nowy pionier kastylskiej ziemi, który wkrótce stanie się najsławniejszym ze wszystkich dotąd znanych i przyszłych toreadorów!

Jakkolwiek gonitwy zapowiedziane są dopiero na godzinę trzecią, lecz tłumy, chciwe widoku krwi, biegną i z całą właściwą swemu charakterowi gwałtownością spieszą, by zająć najlepsze miejsce.

— Woda świeża, woda świeża jak śnieg!... — brzmi czysty i dźwięczny głosik dwudziestoletniej dziewczyny, zajmującej małą ocienioną altankę, mieszczącą w sobie butelki z syropami, likierami i różne napoje chłodzące.

Rzecz naturalna, że sklepik taki wśród otwartego placu jest bardzo ponętny, a pełen prostoty wdzięk i śmiech pięknej dziewczyny zwabia setki młodzieży.

Kółko spacerujących zbliża się do altany.

— Czego panowie sobie życzą? — pyta uprzejmie dziewczyna, spuszczaając skromnie duże, czarne oczy.

— Świeżego napoju! — woła jeden ze spragnionych.

Karmelita, bo to jest imię młodej dziewczyny, napełnia szklanki wodą przezroczystą, osładza ją sokiem i podaje wraz z biszkopcikami.

Jakiś Francuz prosi o piwo i natychmiast otrzymuje butelkę, wydobytą z ukrytego kosza.

— Ale czy zimne?...

— Dosyć — odpowiada urocze dziewczę, — jeżeli jednak pan zechce poczekać parę minut, będzie zimne jak lód.

Daje znak czarno ubranemu mężczyźnie, stojącemu z ponurym wzrokiem w pobliżu drzwi wchodowych. Ten idzie z dzbanem do sąsiedniej studni, napełnia naczynie wodą i, nie rzekłszy słowa, stawia je za bufetem.

Karmelita zanurza butelkę w wodzie, a po chwili wydobywa ją i, zwracając się do gościa z wdzięcznym uśmiechem:

— Zamrożona doskonale — mówi.

Francuz zdaje się nie dowierzać, uroczy jednak uśmiech pięknej sklepowej nie pozwala mu przeczyć, wychyla więc napój jednym pociągnięciem, krzywi się, lecz płaci i z uprzejmym odchodzi ukłonem.

Miedziana fizyonomia czarno ubranego mężczyzny przybiera wyraz niechęci i gniewu, na co córka Kastylji pogardliwe rzuca mu spojrzenie.

— Czy nie przestaniesz nigdy być zazdrośnym, kuzynie Rodrygu?

— O wszystkich i o wszystko, Karmelito!

— Muszę przecież z uprzejmością dla każdego wywiązywać się przy swoim zatrudnieniu, a ten nieznajomy...

— O tego cudzoziemca wcale mi nie idzie.

— O kogoż więc... mój ty nieznosny narzeczony?

— Ty wiesz dobrze, kokietko!...

— Czy o pana Emanuela Martijo może?

— Tak, o eleganckiego espada, tę febrę Burgosu!

Karmelita wzruszyła ramionami, nie przemówiwszy słowa więcej.

Ale już czas zapoznać się nam bliżej z tą Karmelitą i tym Rodrygiem. Karmelita jest sierotą. Ojciec jej był dozorcą wielkich pastwisk, na których się hodują byki przeznaczone do walki. Poskramianie tych niesfornych wychowalców nie jest rzeczą łatwą, tembardziej że całą bronią dozorców są tylko piki i proce; mają oni jednak do pomocy woły łagodniejsze, które, potrząsając dzwoneczkami, otaczają tamte, zmuszając do poddania się woli człowieka, którego bronią własnem ciałem. Byki stawiające opór i niedające się poskromić bywają piętnowane rozpalonem żelazem, a następnie w nocy prowadzone do cyrku, gdzie trzymane są do dnia walki, rycząc i bodąc zagrodę. Rano w dniu walki zostają rozdzielane i zamykane pojedynczo w małych, ciemnych komórkach, aż do chwili otwarcia krwawej areny. Takie okrutne obchodzenie się z rozhukanem i nader wrażliwym zwierzęciem czyni bardzo niebezpieczną rolę każdego dozorczy.

Otóż w jednej z podobnych operacji ojciec Karmelity stracił życie, ona zaś, zostawszy sierotą, znalazła opiekuna w swoim krewnym i narzeczonym Rodrygu, który także pozostawał w służbie przy cyrku.

Rzemiosło jego było wstrętne; służył za kata, to jest gdy espada ugodził byka prawie już śmiertelnym ciosem, taki *cachetero* miał obowiązek dobić zwierzę, zanurzając mu sztylet w karku.

Karmelita nie okazywała wcale pośpiechu ani chęci do zaślubienia swego krewnego, tembardziej że nie były dla niej obojętnymi zabiegi młodego i pięknego toreadora. Rodryg więc, mając powód do zazdrości, argusowem okiem śledził każdy krok dziewczyny. Przeklinała go też z całą zapalczywością południowej krewkości, a w tej właśnie chwili pragnęła jaknajrychlej go się pozbyć, aby, przywdziawszy odświętny strój, zająć miejsce w cyrku i należeć do owacyj, jakie czekały dzielnego Martijo.

II.

Gonitwy.

Kiedy Karmelita, ubrana w krótką spódnice, przystrojona koronkami, wsuto zahaftowanych pończoszek, z kapturkiem zarzuconym na krucze splety włosów ujęte wysokim grzebieniem, przybyła na Toro, nie znalazła już innego miejsca jak na schodkach, które, będąc od areny odgródzone tylko zaporą z desek, są bardziej niebezpiecznymi od dalszych miejsc, jakimi są następujące za niemi ławki i łozę.

Zaledwie młoda dziewczyna zajęła miejsce, orkiestra zagrała aryę z „Riego,” pieśń narodową hiszpańską, i niebawem rozpoczął się pochód.

Espadowie, przystrojeni w obcisłe kurtki, krótkie aksamitne bogato złotem i srebrem zahaftowane spodnie, w jedwabne pończochy i aksamitne trzewiki, z czarnymi toczkami na głowie i splecionym warkoczykiem włosów, co razem wcale imponująco się nie przedstawia, postępują naprzód, a za nimi pikadorowie, którzy, uzbrojeni w długie piki, rozpoczynają walkę, drażniąc byka. Banderilleros mają obowiązek doprowadzania zwierzęcia do największej złości, obsypując go ostro zakończonymi strzałami skierowanymi w boki; chulos, zręczni figuranci, nużą ofiarę igrzyska powiewaniem przed jej oczami czerwonej flagi, wreszcie w ostatnim rzędzie czarny człowiek, cachetero, z którego czynnością zapoznaliśmy się, w osobie Rodryga, ponurego krewnego Karmelity.

Pochód skończony i na chwilę arena ucichła.

Rycerz na koniu chwytając w locie rzucony sobie przez mera Burgosu klucz. Jest to znak do rozpoczęcia okrutnych igrzysk.

Karmelita patrzyła obojętnie na śmierć pięciu byków; cała jej uwaga skupiała się przy szóstym i ostatnim, bo w walce tej miał wystąpić Emanuel Martijo.

Nagle serce jej uderza gwałtownie, a wzruszenie, którego doznaje, podziela dwanaście tysięcy widzów. To on, to nareszcie ulubiony espada wchodzi na arenę! Karmelita podnosi się z miejsca, poruszając znacząco wachlarzem, on ją spostrzegł, rzuca w jej kierunku swój kapelusz, jak gdyby chciał powiedzieć: od tej chwili tracę nadzieję do życia!

Rodryg zauważył ukłon i odpowiedź, wkraczając w zagrodę; że jednak czynność jego odnosi się dopiero do ostatniej chwili, ma czas rzucić wzrok pełen nienawiści na Martija.

Dla zręcznego i odważnego espady walka bywa zwykle jednym ciągiem owacyj i tryumfów, na zakończenie których zanurza on miecz swój w pierś byka, który pod tym ciosem pada na ziemię. Jest to chwila dla cachetera, w której on powinien zadać cios śmiertelny zwierzęciu.

Rodryg jednakże nie ukazuje się na scenie. Błady, z rękami skrzyżowanymi, patrzy na zwycięzcę i zranione zwierzę, które jeszcze żyje. Na co on czeka?... Oto byk się podnosi, a straszny w swej

agonii, zwraca groźne spojrzenie na swego zabójcę i gwałtownym skokiem rzuca się ku niemu!

Martijo w mgnieniu oka chwytając miecz swój krewi obłany, odskakuje w bok, unikając strasznych rogów, szarpających już jego strój bogaty, a wywinąwszy po kilkakroć bronią w powietrzu, zanurza ją powtórnie w kark zwierzęcia, które tym razem pada bez życia...

Publiczność bije entuzjastyczne oklaski... a Rodryg, siny ze złości, ucieka z placu, zaciskając pięście.

Panie i panny wychylają się z łóż, szląc oznaki zachwytu i życzliwe spojrzenia pięknemu bohaterowi dnia. Następuje chwila uroczystego oczekiwania. Ale Martijo zawodzi nadzieję wszystkich, ofiarowując zabite zwierzę Karmelicie.

Młoda dziewczyna, zmieszana tym hołdem publicznym, a zarazem dumna z wyboru, przepełniona radością, wybiega z areny.

(Dokończenie nastąpi.)

Piśmiennictwo.

Nakładem „Echa muzycznego” wyszedł z pod prasy gruby tom „Komedij i monologów,” zarówno oryginalnych jak tłómaczonych, zebranych zapewne w ową całość gwoździ wygodzie i pożytkowi teatrów amatorskich. Ponieważ na tomie tym widnieje napis „serya I,” przeto oczekiwać należy w przyszłości drugiej takiej książki, a może i następnych, a tymczasem zapytać, jaki wydawca ma cel w rozpowszechnianiu rzeczy przeważnie lichych, a najczęściej kłócących się z zasadami elementarnymi dobrego smaku? Na co te monologi, w których humor panów Reinsztajna, Przybylskiego i Rapackiego, ciągnięty za uszy, zmuszany do koziołków, w myślach i formie potraça co chwila o atmosferę knajpy, a gdyby się go godziło przyodziać w jaką suknię, to chyba w wytarte trykoty pajaców podwórzowych?

Rzeczy takie mają swoje przeznaczenie... filantropijne, ale nie trzeba ich uwieczniać drukiem, mianowicie pod egidą pisma poświęconego sztuce, które przez taki wybór silnie kompromituje swoje znanstwo i swoje stanowisko specjalno-krytyczne wobec sceny.

Z bardzo małym wyjątkiem kilku produkcji literackich, reszta w tym tomie jest tylko balastem, którym nie godzi się obciążać piśmiennictwa w druku.

— Zmarły zawczasem Stanisław Grudziński przypomniał się obecnie ogółowi powieścią „Żona artysty,” wyszłą świeżo z druku. Autor w utworze tym daje ujście swoim szlachetnym pojęciom o życiu i sztuce, nawskróś dodatnim, a jaknajdalszym od wszelkiego pesymizmu.

Dwoje ludzi zaślubia się z miłości, on artysta, z odcieniem wrodzonej artystom lekkomyślności — ona skłonna do uczucia trwałego, do poświęcenia, przejęta głęboko powołaniem żony człowieka, który aspiracyami i powołaniem sięga zawsze wyżej. Życie nie idzie im gładko, choć oboje walczą wytrwale o spokój i szczęście. Ona zawsze i wszędzie jest aniołem opiekuńczym jego, często wytrwaniem i natchnieniem. Powieść kończy się śmiercią żony, a zupełnem i dobrowolnem osamotnieniem męża.

Smutna jest, ale w treści swej głęboko odczuta przez autora, który był zawsze poetą i umiał w życiu dopatrywać stron niepowszednich. Czyta się ją z zajęciem, jako owoc serdecznego talentu, choć nie sięga ona nad zwykły poziom rzeczy dobrych... średnio.

Rz.

Uwaga. W rubryce niniejszej na przyszłość będziemy помещać wzmianki o tych tylko książkach, których wydawcy raczą je nadsyłać pod adresem redakcyi „Tygodnika mód i powieści.”

KORRESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

15 Stycznia 1891 roku.

Krótki tegoroczny karnawał bardzo jest w Paryżu ożywiony. Powtarzają się raz po raz bale u prezydenta i ministrów, jak również w świecie arystokratycznym i finansowym, a w dodatku zabawy na rozmaite cele dobroczynne.

Magazyny też pełne kupujących, słynne modniarki nie mogą nastarczyć wymaganiom.

Zwiedziliśmy wczoraj pracownię panny Elizy Méry, przy ulicy St. Lazare numer 77. Obszerny salon zapełniały balowe i wieczorowe suknie, odznaczające się wytwornym gustem i nowością pomysłów, tak pod względem formy, jak i ozdób. Suknie te w bardzo bładych kolorach: różowym, błękitnym, słomkowym i zielono-wodnistym, świetnie jednakże wyglądają, blask ten nadają im mieszane z haftem wypukłe kamiki a raczej szlifowane szkiełka w rozmaitych kolorach, naśladujące szmaragdy, rubiny, turkusy i szafiry. U jednych sukien cały przód zasiany takimi świeczkami, u innych wysyity niemi szlak zakończył u dołu spódnice. Inne znów suknie strojne kwiatami, piórami i plumazem.

Po tych ogólnych uwagach, przystąpmy do szczegółów.

Pierwsza suknia blado-niebieska aksamitowa, przedni bryt zasiany cały rzucikiem z białych kryształowych świeczków, przytwierdzonych srebrnym hafcikiem. Od boków spada do tyłu gładki, zaokrąglony tren, przytwierdzony z obu stron buketami z białych piór strusich i bladoróżowych hiacyntów. Stanik z przodu szeroko otwarty, plecy zachodzą wgórę. Pod spód idzie plastron zasiany świeczkami. Rękawki krótkie, złożone z gałązek hiacyntów. Od pleców przez ramiona przechodzi do przodu sztywna koronka srebrna, zwrócona wgórę; tworzy to wysoki kołnierz, zwany Col Medicis.

Druga suknia blado-różowa z aksamitu i crêpe de chine. Spódnica aksamitowa ma długi tren bez żadnego garnirunku. Przód z crêpe de chine, lekko u dołu podpinany, tworzy małe festony, przytwierdzone bukiecikami z róż polnych. Z lewego boku przez małą spódnice przechodzi także girlanda. Plecy stanika aksamitowe, przód z crêpe de chine z długim bawetem, przybrany draperyą, rozchodzącą się na obie strony. Girlanda z róż idzie od lewego ramienia do połowy stanika, rękawki bufowane podpięte różami.

Trzecia suknia czarna z tiulu jedwabnego, przód spódnicy zasiany w rzucik złotym haftem i błękitnymi świeczkami, naśladującymi turkusy. Tren czarny aksamitowy, przód stanika z tiulu haftowanego odpowiednio, zapięty z boku, obcisnięty paskiem ze złotego galonu, nabitym turkusami. Rękawki tiulowe haftowane, na ramionach pęczki piór strusich.

Czwarta suknia w kolorze lila różowym mauve, bardzo ładnym przy świetle. Spódnica atlasowa, zakończona z przodu wolantem, na pół łokcia szerokim, tworzy w tyle długi tren. Nad wolantem idzie szlak z białych piórek strusich, odwrócony w kant do lewego boku. Od prawej strony przez cały przód spódnicy przerzucona draperya z crêpe de chine, objęta brzegiem frendzlą z kryształowych paciorków, dochodzi do stanika po lewej stronie. Stanik atlasowy, na wykroju objęty plumażem, z prawej strony pokrywa go draperya z crêpe de chine, zakończona frendzlą kryształową.

Zobaczmy teraz suknie dla młodych panienek, przygotowane w pracowni panny Elizy Méry.

Suknia balowa z jedwabnego muszlinu w kolorze blade różowym. Spódniczka do ziemi, bez trenu, na drugiej, z materyi surah. U dołu rzesista riusza tiulowa w tym samym kolorze, przetykana kwiatkami hiacyntów. Stanik, złożony z dwóch części, od spodu tworzy obcisły gorsecik z bawetem, cały ułożony w zaprasowane zakładki, zakończony u dołu frendzelką z kwiatów hiacyntowych. Wyższa część stanika, przymarszczona z przodu przez środek, tworzy draperyą rozchodzącą się na obie strony, na wykroju wążiuchna girlanda z hiacyntów.

Druga suknia, także balowa, spódniczka z białego tiulu jedwabnego, u dołu rzesista riusza, przepinana białą wstążeczką ze złotymi brzeżkami. Stanik marszczony, na wykroju ułożona draperya, na to gorsecik atlasowy, w kolorze jasno-koralowym, cały zahaftowany złotem i kryształowymi paciorkami. Gorsecik ten z bawetem zapina się z boku na niewidzialne haftki, z obu stron bawetu spadają dwie klapki odpowiednio wysunięte; dwie inne wybiegają od pleców naksztalt karoczek.

Trzecia suknia dla panienki na wieczór tańczącej, z kreponu w kolorze blade różowym (rose crevette). U dołu plisowany wolant, szeroki na pół łokcia, nad tem naszyta dwa razy czarna aksamitka. Stanik wycięty w chusteczkę, u wykroju dwa rzędy aksamitki. Pod spód idzie szmizetka biała tiulowa, namarszczona, u szyi ujęta w aksamitkę. Rękawy bufowane wgórę, zwężone poniżej łokcia, zakończone również aksamitką.

Zdawało się, że moda sukienka na ubrania wieczorowe i balowe prędko przeminie, skutkiem zbyt- niego upowszechnienia i dostępnej ceny. Inaczej jednakże się stało, noszą je dziś ogólnie; mieszają sukno z gazą jedwabną, z atlasem lub aksamitem, zdobią pasmanterią, naszywają dżetem i kolorowymi ćwieczkami. Widzieliśmy u panny Méry bardzo ładną w kolorze blade-zielonym (algue marine), przód atlasowy zasiany w czarne dżetowe listki; dół spódniczki zdobi także girlanda. Stanik półotwarty, wykrojony w chusteczkę. Na wykroju szlak odpowiedni, pod spód idzie atlasowy plastron w rzucik z listków dżetowych.

Inny kostium, także sukienny, przygotowany dla młodej druchny, w kolorze jasno błękitnym. Spódniczka płaska bez garnirunku, stanik złożony z dwóch części, poniżej gorsecik z bawetem i klapkami, naszyty srebrnym galonem i szklanymi ćwieczkami w rodzaju turkusów; wyższa część stanika z crêpe de chine, ułożona w zakładki. U szyi riuszka z błękitnego tiulu jedwabnego. Rękawy sukienne bufowane wgórę, zwężone od łokcia, mankiet naszyty galonem i turkusami.

Okrywki do wejścia na bal lub na teatr najmłodniejsze też sukienne, z tą różnicą, że kiedy na suknie przyjęte odcienie bardzo delikatne i niki, na okrywki przeciwnie używane jaskrawe kolory, szczególnie ponsowy i pomarańczowy. Są to rotundy długie do ziemi, lekko podwatowane, ujęte w okrągły karczek naszyty pasmanterią. Pomarańczowe obejmują wydrę albo skunksami, ponsowe futrem chińskiej kozy, z długim połyskującym włosiem.

Do balowego ubrania przyjęto pończoszki jedwabne i wycięte trzewiki atlasowe z niewielką kokardą, tego samego jak suknia koloru.

Na pomniejszych wieczory najmłodniejsze pończoszki jedwabne czarne, tak do trzewików atlasowych, jak i lakierowanych.

Rękawiczki jasne duńskie lub białe irchowe cią-

gle się utrzymują do strojnego ubrania; noszą też zarówno i białe ze skórki kozłowej.

Musimy tu zapisać jedno z dziwactw teraźniejszej mody, nie zachęcając bynajmniej czytelniczek naszych do jego naśladowania. Od lat kilkunastu upodobano sobie jasne włosy, mnóstwo też pojawiło się zaimprovizowanych blondynek.

Widzieliśmy fryzury w rozmaitych odcieniach, zaczawszy od barwy popielatawej, jasno mahoniowej, do złotej a nawet siarzystej. Nadużycie to okazało się szkodliwym dla zdrowia, wydział lekarski wdał się w sprawę, zabroniono fryzyerom sprzedaży specyfików, nie to jednak nie pomagało. Otóż w tej chwili nastąpił nagły przewrót. Jasnowłose Omfa-le zamieniły się w brunatne Esmeraldy. Panującą dziś modą stały się włosy czarne jak krucze skrzydło, jak lawa Wezuwiusza.

I tu potrzeba sztuki; nie wiemy dotąd o ile wydział lekarski zgodzi się na tę metamorfozę. Dodajmy jednak, że większa część Paryżanek nie przyjęła wcale tej mody, wytworne panie tutejsze nie ukrywają siwych włosów, które, obok świeżej cery, nierównie estetyczniej wyglądają, niż owe czarne fryzury, nadające twarzy jakiś ostry i dziwnie prze-rażający wyraz.

S. D.

Z chwili bieżącej.

* **Dwa jubileusze.** Jednocześnie niemal, gdyż dzień po dniu, 14 i 15 b. m., dwaj utalentowani artyści sceny naszej obchodzili dwudziestopięcioletnie jubileusze sumiennej i owocnej dla teatru pracy w swoim zawodzie. Pierwszym jubilatem był pan Jan Tatarkiewicz, artysta znany chlubnie w rolach kochanków, reżonerów i bohaterów dramatycznych, a obok tego od lat wielu reżyser dramatu i komedy; drugim pan Władysław Szymanowski, nieporównany w rolach komiczno-charakterystycznych.

Obaj doczekali się ćwierćwiekowego jubileuszu w pełni sił i zdolności, które, daj Boże, długo im jeszcze posłużą do zjednywania sobie tej zasłużonej sympatii publiczności, którą dotąd w tak wysokim stopniu się cieszą.

Podobno dyrekcja naszych teatrów, w uznaniu zasług pana Tatarkiewicza, udzieliła mu pozwolenia na urządzenie poranku benefisowego.

* **Pekusa.** W jednym z najcelniejszych warszawskich magazynów strojów damskich ukazała się w tych dniach na wystawie... cud sukni...

Z przepysznej materyi, szyta złotem, dziana perłami, ciągnie ku sobie oczka wszelakiej barwy, i habrowe, i czarne, i piwne i nawet owe fiołkowe, które podobno tylko w romansach i poezji istnieją. O mało nie powiedziałem, że za oczkami ciągnie i serduska, ale na czas jeszcze zreflektowałem się, że serce nie ma nic do czynienia ze szmatami, chociażby najdroższymi, a ta, o której mowa, jest... dyabelnie droga!

Przepraszam za wyrażenie, ale tak mi ono do określenia tej drogości dobrze przypadło, że nie mogłem pióra od złożenia go czarno na białym powstrzymać.

Suknia ta kosztuje... 2,000 rs., wyraźnie dwa tysiące rubli srebrem!... Czyż więc ta cena nie jest istic szatańską wobec naszych czasów i naszych kieszeni ironią?... Gdybyż ta ironia przyniosła choćby jakiegokolwiek ze stron interesowanych jakimkolwiek pożytek! Ale gdzie tam!... Owszem... klientom magazynu i wogóle publiczności, mianowicie płci pięknej, przynosi ona szkodę moralną, gdyż budzi tylko oskórę i żądze niepodobne do zaspokojenia; magazynowi zaś wyrządza stratę materyalną, gdyż do sklepu, mieszczącego w sobie takie słone przepychy, nie odważy się wstąpić nikt, potrzebujący się liczyć ze swoją kieszenią, a takich podobno, niestety, jest najwięcej!...

* **Ułatwienie pocztowe.** Z dniem 13 b. m. weszło w życie rozporządzenie, mocą którego strony interesowane mogą otrzymywać w domu posyłki pocztowe, nieprzenoszące wagą 5 funtów a wartością 10 rs. Adresat otrzyma, jak dotąd, zawiadomienie o nadeszłej dla siebie przesyłce; jeśli chce ją otrzymać w domu, winien tylko życzenie swoje wypisać na zawiadomieniu i wrzucić je, bez żadnej marki, do skrzynki pocztowej, a nazajutrz odbierze przesyłkę. Za takie doręczenie płaci się 15 kop.; kto chce tego rodzaju przesyłki stale odbierać w domu, winien odpowiednią w urzędzie pocztowym złożyć deklarację.

* **S. p. Bolesław Glaser,** zawołany gospodarz, ojciec i przyjaciel ludu, którego miłością i zaufaniem się cieszył, zmarł w tych dniach, w dobrach swoich Duchowianach w gubernii grodzieńskiej. Cnót jego i szacunku, jakiego powszechnie u wszystkich warstw społecznych używał, najlepszy dowód stanowił jego kondukt pogrzebowy, który się na długość pięciu wiorst rozciągnął. W takiej asystencji chowają się tylko ludzie, których zgon społeczeństwa ciężką szczerbą, a serca ciężkim żalem oplacają.

* **Kochaina.** Po długim milczeniu d-r Koch przemówił znowu w tygodniku lekarskim „Deutsche Medicinische Wochenschrift” Nie jesteśmy specjalistami, żeby wydać sąd kompetentny o tem powtórnem odezwanii się wynalazcy środka przeciwgruźliczego, które jest oczywiście pewnym rodzajem *orationis pro domo sua*. Stwierdzić tylko musimy, że i tym razem doktor Koch nie nie twierdzi stanowczo. Wyrażenia takie jak: „gdyby może sprawdziły się moje przypuszczenia,” albo: „zachodzi teraz pytanie, w jaki sposób odbywa się specyficzne działanie środka na tkankę gruźliczą,” „na to dzisiaj odpowiedzieć tylko można hipotezą” i t. d., świadczą, że cała ta rzecz znajduje się obecnie jeszcze w fazie prób, doświadczeń i przypuszczeń; a jeśli do tego dodamy niezbyt pochlebną o całej metodzie opinią takiej powagi, jak doktora Virchowa, musimy przejść do przekonania, że w najlepszym razie dużo jeszcze wody upłynie, zanim *Kochaina* choć w przybliżeniu stanie się tem dla ludzkości, za co ją szowinizm niemiecki od razu ogłosił.

* **Z karnawału.** Krótkość tegorocznego karnawału, a obok tego długość listy potrzeb, na które filantropia pragnie wyzyskać peryód zapustny, sprawia że bieżące tygodnie zatłoczone są niemal literalnie zabawami na cele dobroczynne. Każdy orze jak może, więc też filantropii nie robimy zarzutu z tej... namulności, a z pomiędzy wielu innych wyszczególniamy tylko bal na rzecz Towarzystwa opieki nad biednymi matkami i ich dziećmi. Jest to jedna z najsympatyczniejszych instytucyj filantropijnych, a zarząd jej i z tego względu zasługuje na uznanie, że nie chcąc przeszkadzać innym bratnim instytucjom, bal swój aż na dzień 31 b. m. naznaczył. Będzie to bal kostiumowy, a odbędzie się w salach ratuszowych.

* **Gwiazdka,** urządzona przed świętami Bożego Narodzenia na rzecz Towarzystwa dobroczynności, przyniosła brutto 3065 rs. 35 k.; po odliczeniu zatem kosztów w ilości 733 rs. 62 kop., dochód czysty wyniósł dość pokaźną sumę 2331 rs. 73 k.

* **Panorama.** Tyle czasu nosiliśmy się z myślą sprawienia sobie tramwajów, aż nam je sprawili — Belgijczycy; tyle razy artyści nasi zbierali się na urządzenie nam wielkiej panoramy, aż nam ją niebawem urządzi — Niemiec.

Tym dobroczyńcą naszym będzie pan Eisenbaum, właściciel panoramy w Berlinie, który postara się u nas tylko o pomieszczenie dla swego przedsięwzięcia, a obrazy sprowadzać będzie kolejno z Berlina. I z pewnością pan Eisenbaum zrobi dobry interes, a nasze kopiejki i ruble będą wędrowały do Berlina, tak jak inne wędrują już do Brukselli, kiedy tak wygodnie mogłyby pozostać w naszej własnej kieszeni!

G. Cz.

 Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

WYPRAWY DAMSKIE I MĘZKIE

Znajdują się na składzie w wielkim wyborze, również przyjmuję na obstalunek z moich materiałów, jako też i z powierzonych; **monogramy i znaki do-
dają się gratis do każdej wyprawy.**

UWAGA. Radziłabym Szanownym Paniom, które są w potrzebie przygotowywania wypraw, aby najpierw raczyły pofatygować się do mego składu i zażądały zaprezentowania Sobie na rozmaite ceny kompletnych wypraw lub części takowych, a wówczas przekonają się, że nie warto w domu robić sobie ambarasu z kupowaniem surowych towarów i dawania do roboty osobom mniej kompetentnym, z czego często wynika niezadowolenie i większy koszt, ja zaś mając wszystko ku temu, a mianowicie: specyalność swej branży, dużą ilość stałych pracujących, towary z pierwszych źródeł w wielkich partyach, a tem samem taniej. Duży obrót towarów; to wszystko daje mi możność zadowolenia Szanow. Publiczność. **Firma gwarantuje za dobroć towaru i dobre fasony, kopiowane z modeli paryżkich.**

Specyalna Fabryka Bielizny, Skład Płótna i Bielizny Stołowej **TEOFILI FUKS,**

Senatorska Nr 26, vis-à-vis Kościoła Św. Antoniego. Skład na parterze, wprost bramy, w prywatnem mieszkaniu. 100-4-4

KRZYSZTOF BRUN I SYN

W WARSZAWIE,

Plac Teatralny Nr 2 (466),

wyłączni ajenci na Królestwo Polskie

polecają po

znacznie niższych cenach

oryginalne amerykańskie

WYŻYMACZKI

Empire Wringer Co

Auburn New-York

Nr 3 długość walcy 10 cali, Rs. 9.

Nr 5 długość walcy 12 cali, Rs. 12.



FABRYKA KWIATÓW „IRYS”

Poleca duży wybór takowych.

HOŻA Nr 14, miesz. Nr 7.

FABRYKA KWIATÓW

L. Karskiej 105-3-3

ul. Niecała Nr 12 na 1-em piętrze od frontu)

poleca się szanownym damom, z wielkim wyborem kwiatów karnawałowych.

DYPLOMOWANA SZKOŁA

Rzemiosł dla Kobiet

Eufemii Pilniakowskiej,

Chmielna № 37, róg Marszałkowskiej,

w Warszawie.

Rozpoczęły się kursa: Kroju sukien, okryć i ubrań dzieciennych najlepszym i najłatwiejszym systemem Vorth'a. Malowanie na porcelanie i atłasie. Wypalanie na drzewie i skórce. Heliominiatury, Barbotiny, Terracoty, Introligatorstwa. Koszykarstwa, Gypiury, Koronkarstwa, Magazynierstwa i innych t. p. Rzemiosł. Nauczycielki pierwszorzędne. Pensyonarki przyjmują się. Lekcje Kroju codziennie, kurs rs. 10. Patenta wydają się. 191-2-4



Specyalna Fabryka
Gorsetów Hygienicznych
104 Józefiny Knoff.

Wybór gorsetów najświeższych fasonów paryżkich i we wszelkich gatunkach materiałów. Obstalunki wykonywa w przeciągu 24 godz. po cenach przystępnych.

Marszałkowska 141 (wprost Rysiej).

Pracownia Waleryi Wesółowskiej,

ulica Trębacka Nr 3 (4 piętro).
Wykończa na sezon bieżący suknie damskie i ubranka dzieciennie podług najświeższych żurnali, po cenach bardzo umiarkowanych, w możliwie krótkim czasie.

- *****
- W pracowni Niższej Marszałkowska 129.
- Suknie na bale i wieczory kostiumowe,
- również i wszelkie inne suknie, okry-
- cia i kapelusze wykonywają się szybko
- i dokładnie według świeżych żurnali,
- po cenach przystępnych. Nauka kroju
- i szycia.
- 14-1-5
- *****

!!Przemysł krajowy!!

Rzeźbienie na skórce: Herby, Monogramy i różną Ornamentację, używaną do pokrycia mebli, jako też przyjmuje zniszczone Aksamity, Plusze i Utrechty do odświeżania i wytłaczania pięknych deseni, na Żakietach i Paltach bez prucia.

Z uszanowaniem Jan Kwiatkowski,
9-1-6 Chmielna 28, miesz. 14.

40. KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 40. GEBETHNER i WOLFF

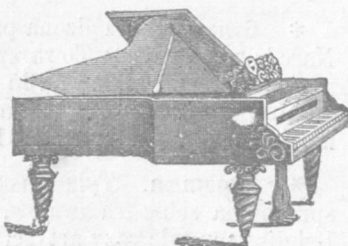
Największy w kraju Skład Fortepianów i Pianin
Filia w Łodzi, ulica Piotrkowska Nr 18.

Reprezentacja

firmy

MAŁECKI
w Warszawie.

SPRZEDAŻ



Reprezentacja

firmy

BLÜTHNER
w Lipsku.

NA RATY.

Fabryka Gorsetów MARYI GROCHOWSKIEJ.

Krakowskie-Przedm. 49, wprost Gmachu Dobroczynności.
10-1-4

Otrzymała na sezon karnawałowy wielki wybór materiałów ażurowych i batystowych wszystkich kolorów, oraz nowe modele gorsetów. Sprowadzając bezpośrednio materiały z zagranicy, ustępuje 15% taniej od cen praktykowanych. Fabryka posiada specyalne fasony dla pp. artystek. Zamówienia na prowincję wysyła odwrotną pocztą za zaliczeniem.



MAGAZYN MÓD

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 20,
1-sze piętro, wprost kościoła św. Krzyża.

pod firmą
ELŻBIETY BANACHOWSKIEJ.

Polecając się łaskawym względem Szanownych Pań, nadmieniam, iż zarządzalam dotąd pierwszorzędnymi zakładami.

10-1-6

SKŁAD OBRAZÓW

Franciszka Reinsztejna

ul. Miodowa Nr 6 (z bramy na lewo).

Obrazy olejne, szkice, akwarele, pastele.

68-2-3
Ceny od najniższych.

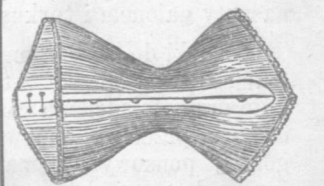
10-1-6

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga Plato v. Reussnera: 93-4-6

Najlepsza Metoda

do nauczania się Bez nauczyciela czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ech miesiącach, po angielsku w 24 lekcyach. Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w opowie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. Najlepszy elementarz polsko-niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop 35, 30, 15 i 7 1/2. Oprawny kop. 45. Najnowszy elementarz polski z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi kop. 25, 20, 15, 10 i kop 5. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 15.

Skład główny u autora, (Pl. v. Reussnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie).



FABRYKA GORSETÓW
ze Stadnickich

M. Hejnków,
40 Długa 40
(gdzie „Sala Harmonja”
w WARSZAWIE).

Poleca wybór gorsetów po cenach bardzo umiarkowanych. 180-6-6